

Navid Kermani

Ojczyzny albo geometria kanapek

Pamiętam dobrze mały ruch przygraniczny w czasach mojego dzieciństwa. Na wzgórzu, na którym mieszkaliśmy, byłem – o ile się nie mylę – jedynym cudzoziemcem. Oprócz mojego nazwiska i moich czarnych włosów nie było niczego, co w przedszkolu, w szkole podstawowej, na ulicy, czy wśród przyjaciół naznaczałoby mnie jako obcego. Nawet moja niemiecka posiadała melodię i gardłowe „r”, charakterystyczne dla naszych górzystych okolic. Ale kiedy wracałem do domu, to było tak, jakbym przekraczał jakąś granicę. W miarę zbliżania się do domu zmieniał się język – także mój własny – na język perski i to z akcentem niemiecko – isfahańskim. Z każdym krokiem zmieniał się mój sposób zachowania i zasady savoir – vivre. I zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy, ani też nie odczuwając tego jako problem, byłem otoczony przez kształty, zapachy, dźwięki, ludzi i kolory, jakich nie było za progiem.

Świat ten był dla mnie czymś tak zwyczajnym jak moja skóra, ale moich przyjaciół – o ile się nie myliłem – fascynował, co wyrażało się w tym, że woleli bawić się u nas. Być może była to ciekawość, jaką wzbudzało wszystko to, co obce, ale może były to tylko inne, luźniejsze reguły, odnoszące się do nas, dzieci, jakie panowały w naszym świecie. Tutaj nie było pomieszczeń, do których nie wolno było wchodzić, sztywno ustalonych pór posiłków, rodziców, którzy się do wszystkiego wtrącali, tylko kilku braci, którzy jednak nie przeszkadzali, już choćby z tego powodu, że byli starsi i oddawali się wyłącznie tak interesującym zajęciom jak dziewczyny, imprezy, piłka nożna, muzyka rockowa. Poza tym dom i ogród należały do nas. Nie wiem i wtedy też nie zastanawiałem się nad tym, czy stosunki panujące u nas były typowo perskie, ale były inne niż u moich przyjaciół, co oni wyczuwali tak dobrze jak ja. Wyrosłem z tą świadomością, że istnieje jakiś świat wewnętrzny i zewnętrzny, to i tamto, i dzisiaj mam nieco zarożumiałe poczucie, że w tym zakresie nieco wyprzedziłem moich przyjaciół. Nigdy nie potrzebowałem, aby mi wyjaśniano, że to co jest, nie jest wszystkim.

Światy te nie były tak ściśle od siebie oddzielone, jak można byłoby przypuszczać. Chodziło się przecież do szkoły, organizowano urodziny dzieci, odbywały się wywiadówki, poza tym moi rodzice odwiedzali mnie na boisku sportowym. Przy wszystkich tych okazjach dochodziło do zniesienia linii podziału, mówiłem po niemiecku, a już w następnym zdaniu, zwracając się do moich rodziców, używałem perskiego. Czasami było to nawet komiczne, ale mimo wszystko dla mnie właśnie normalne: na przykład zwracając się do moich rodziców w języku perskim, używam formy grzecznościowej, co w języku niemieckim nie byłoby możliwe bez ośmieszenia się. A więc już wtedy próbowałem unikać zwracania się do moich rodziców po niemiecku. Wprawdzie w obecności moich przyjaciół i gdy nie było innego wyjścia rozmawiałem z nimi po niemiecku, ale nie zwracałem się do nich bezpośrednio. Szukałem innych sformułowań, mniej bezpośrednich, ponieważ w innym przypadku musiałbym im mówić na „ty”, co byłoby dla mnie nieprzyjemne. Ale naturalnie nie mogłem też używać wobec nich formy grzecznościowej, tym bardziej w obecności moich przyjaciół. Już widzę, jakby na mnie patrzyli, gdybym powiedział: Tatusiu, proszę niech tatuś odbierze mnie o trzeciej z boiska. To nie było tak, że takie zwracanie się do moich rodziców odczuwałem jako przymus, że chciałem im mówić na „ty” i że nie było mi wolno tak mówić. Było to dla mnie tak normalne, jak normalnym jest ubieranie piżamy do snu. Nie czułem się też z tego powodu zażenowany i nie robiłem z tego żadnej tajemnicy. Pamiętam, że kilka razy opowiadałem o tym moim przyjaciom, jako kuriozum, nie jako wyznanie. A sytuacja kuriozalna powstawała, jak sobie dzisiaj próbuję to uzmysłwić, właśnie przez to, że oba te światy, o których mówiłem, zewnętrzny i wewnętrzny, na skutek obecności moich rodziców

na boisku albo na podwórku szkolnym przenikały się nawzajem, a ja musiałem równocześnie stosować reguły i formy zachowań, które normalnie były ściśle od siebie oddzielone. To nie był stan normalny, ale nie było to takie złe. Tylko od czasu do czasu nieco kuriozalne.

Nie twierdzę, że mojej „tożsamości kulturowej”, jak się to dzisiaj okropnie nazywa, nigdy nie odczuwałem jako problemu. Ale nie był to, jeżeli w ogóle, szczególnie wielki problem. Na przykład nigdy nie byłem tak porządny jak inne dzieci, i to miało coś wspólnego z moimi rodzicami, tak czułem. Mój tornister na przykład nigdy nie był tak planowo zapakowany jak tornistry innych dzieci, i moje zeszyty nie były tak starannie wypielegnowane, i nigdy nie miałem tak pięknych pudełek na kanapki jak moi niemieccy przyjaciele. Moją kanapkę do szkoły mama pakowała zawsze do starej torebki. Wspominałem już, że u nas w domu nie obowiązywał rozkład dnia dokładny co do minuty jak u moich przyjaciół. I to co normalnie uważałem za coś dobrego, a mianowicie że posiadałem więcej wolności, czasami odczuwałem też jako coś negatywnego. Też chciałem mieć tak porządnie posmarowane, równiutkie jak od linijki kanapki do szkoły i nowiutkie pudełko na drugie śniadanie. Ale oczekiwanie tego od mojej matki było całkowicie nierealistyczne, co prawdopodobnie brało się stąd, że wywodziliśmy się z innej kultury, w której taki porządek i ład, taka kliniczna czystość i co do minuty uregulowany rozkład dnia są czymś nieznanym. A więc zdarzały się chwile, w którym moja obcość stanowiła jakąś przeszkodę, ale nie było to nic szczególnie poważnego. Wprawdzie w wieku siedmiu lat geometria kanapek wydawała mi się czymś ważnym, ale nie posiadała wymiaru egzystencjalnego.

Takie pojęcia jak ojczyzna, obcość, tożsamość wiąże się zazwyczaj z miejscami, krajami albo kulturami. I nie jest to czymś niewłaściwym, ale jest to jednak jakieś ograniczenie.

Nadmieniłem już, że w szkole albo wśród przyjaciół byłem wprawdzie świadom mojej inności, tak samo jak było jasne dla moich przyjaciół, że pochodziłem z innego kraju. Ale nie było w tym nic sensacyjnego albo wręcz niepokojącego. Nie czułem się z tego powodu obco albo nieswojo, albo innymi słowy: moja obcość była informacją, nie jakimś stanem. W moim zachowaniu nie było niczego, co odróżniałoby mnie od innych dzieci, albo w każdym razie niewiele, co wiązałem z tym, że jestem cudzoziemcem.

Tak było w szkole, ale nie wszędzie było podobnie. W wieku sześciu lat zacząłem trenować w klubie piłki nożnej, gdzie grałem bez przerwy aż do matury. Dwa razy w tygodniu trening, w weekend mecz o mistrzostwo. Teraz, po latach muszę powiedzieć, że było to jedno z najważniejszych doświadczeń w moim życiu, które wywarło na mnie duży wpływ. W klubie poznałem świat, który był dla mnie nowy – po raz pierwszy było to dla mnie coś obcego.

Wychowywałem się w środowisku wyższej klasy średniej; większość dzieci z mojego sąsiedztwa i z mojej szkoły podstawowej wywodziła się ze stosunkowo zamożnych domów. Nie wszyscy bez wyjątku byli bogaci, ale mieszkali w tak dobrych warunkach jak nie zdarza się to w przypadku dzieci robotników, bezrobotnych, biedaków. Dlatego, ponieważ była to lepsza okolica, nie mieszkali tu żadni inni „gastarbeiterzy”, a tych niewielu cudzoziemców, którzy tu mieszkali, byli – o ile pamiętam – lekarzami. Natomiast w klubie piłkarskim byliśmy wraz z przyjacielem, który zapisał się tam razem ze mną, jedynymi którzy mieszkali w zamożnej dzielnicy. Koledzy z klubu, z wyjątkiem mojego przyjaciela, pochodzili z innej warstwy społecznej. Wyczuwałem tę różnicę, chociaż wtedy nie potrafiłbym tego sprecyzować. Na przykład ton w kontaktach towarzyskich był bardziej szorstki, a rodzice innych dzieci nie jeździli mercedesami, lecz takimi samochodami jak opel rekord albo renault 4. Najtańszy samochód, jakim jeździł ojciec rodziny u nas, na wzgórzu, to był opel senator; najlepszym samochodem, jakim jeździli ojcowie moich kolegów z klubu, to był opel taunus – o ile w ogóle posiadali jakiś samochód. Dorosłemu człowiekowi może się to wydawać dziwne, ale w wieku sześciu lat odkrycie, że samochód absolutnie nie jest czymś oczywistym, i że są takie dzieci, których rodzice nie posiadają samochodu, było to dla mnie bardzo ważne. I te dzieci, z którymi w moim wieku prawdopodobnie nigdy bym się nie zetknął, stały się

dzięki wspólnej grze w klubie moimi kolegami, których odwiedzałem w domu, albo którzy odwiedzali mnie w moim domu rodzinnym. Ale na to potrzeba było czasu, a względna zamożność moich rodziców nie była w klubie czymś pozytywnym, wprawiał mnie raczej w zakłopotanie, ponieważ po raz pierwszy w życiu nie czułem się całkowicie przynależny do jakiejś grupy, przynajmniej na początku.

Zazwyczaj to moja mama woziła mnie na trening albo w soboty na mecze, albo przynajmniej do punktu zbiórki, skąd wyjeżdżaliśmy na mecze do innych miejscowości; wtedy to się tak nie rzucało w oczy, ponieważ moja mama miała volkswagena. Ale gdy mój ojciec zajął swoim mercedesem – wtedy było już dziwnie. Oprócz tego pojawiały się określone słowa albo zdania, które wprawdzie znałem, ale których sam nie używałem. Była też pewna określona dykcja, którą posługiwali się inni, a ja nie. Oni byli o wiele śmielsi, mężniejsi ode mnie, tak mi się przynajmniej wydawało, męscy, prawdziwi mężczyźni. Gdybym na boisku nie dotrzymywał im kroku, szybko miałbym z nimi problemy. Na szczęście grałem bardzo dobrze. Miałem swoje stałe miejsce i dlatego inni mnie akceptowali. Wśród nas zawsze było takich dwóch czy trzech, którzy nie cieszyli się szczególnym uznaniem i dlatego też nie pozostawali w klubie zbyt długo; zawsze byli to tacy, którzy na boisku też nie spisywali się za dobrze. To znaczy, że uznanie ze strony środowiska definiowało się przede wszystkim poprzez osiągnięcia na boisku; było to oczywiście trudne ale nie niesprawiedliwe, w końcu byliśmy piłkarzami. Tak więc nie czułem się poza nawiasem grupy i skoro tylko zostałem przyjęty do grupy, absolutnie nie byłem dyskryminowany z powodu mojego pochodzenia społecznego. Ale mimo to pozostałem obcy, i to nie dlatego, że byłem cudzoziemcem, lecz dlatego, że pochodziłem z domu o wyższym statusie społecznym. Gdy czasami odwiedzałem jednego czy drugiego kolegę z drużyny, to była to dla mnie jakby podróż za granicę. Dzisiaj widzę to bez przerwy, że w dyskusjach o cudzoziemcach i problemach integracji zbyt rzadko uwzględnia się kategorię społeczną i ekonomiczną, zwłaszcza w dyskusjach na temat możliwości i niemożności integracji muzułmanów. Stale podkreśla się słabą integrację muzułmanów i w ogóle ich niechęć do integracji. Myślę, że wrażenie to czasami nie jest tak zupełnie bezpodstawne. Ale sadzę, że przyczyny tego zjawiska są częściowo dosyć banalne: większość muzułmanów w Niemczech, a więc większość Turków pochodzi – przynajmniej jeśli chodzi o generację imigrantów – z obszarów wiejskich, słabo rozwiniętych. Ich emigracja do Niemiec okazała się przede wszystkim podróżą w czasie. Trudności z zaadaptowaniem się do miejskiego, zindustrializowanego świata, jak również mechanizmy obronne, jakimi reagowali na te trudności są po części podobne do tych, jakie można zaobserwować na skutek migracji mieszkańców wsi do miast w metropoliach w świecie islamskim. Osobie przynależącej do klasy średniej Bejrutu, Stanbułu czy Teheranu nawyki, tradycje i system wartości mieszkańca wsi w Anatolii są nie mniej obce niż przeciętnemu Niemcowi czy Szwajcarowi. Nie wszystkie, ale jednak sporą część problemów pojawiających się we współżyciu z muzułmanami, a więc społeczności paralelne, przepaść edukacyjna, odsunięcie kobiet od życia publicznego – da się wyjaśnić nie tyle względami teologii, co raczej względami społecznymi, co oznacza, że byłyby one o wiele mniejsze, gdyby gros emigrantów z krajów islamskich pochodziło z miast. Tak więc raz po raz ktoś zauważa ze zdumieniem, że imigranci z Libanu albo z Iranu, których liczba na całym świecie sięga kilku milionów, stają się członkami elit naukowych i ekonomicznych w swoich nowych ojczyznach. To z pewnością nie zależy od ponadprzeciętnej inteligencji tych narodów (o czym tak chętnie zapewniają mnie moi irańscy rodacy) ani też od odstąpienia od religii (jak często uważają moi niemieccy ziomkowie, gdy tych muzułmanów, których wiara nie demonstruje się w zewnętrznych oznakach i regułach, z niejaką ulgą uznają „za jakichś takich nieprawdziwych”); to po prostu polega na tym, że już w swojej ojczyźnie byli członkami warstwy uprzywilejowanych. Nic dziwnego, że nie mają trudności z adaptacją do nowego środowiska, skoro ich stare środowisko jest dość podobne do nowego.

Gdy byłem dzieckiem, często jeździliśmy w lecie do krewnych w Isfahanie. Ponieważ zawsze tak robiliśmy, było to dla mnie tak normalne, jak dla innych normalnym jest spędzanie lata w Helgolandzie. Ani nie miałem poczucia, że „powracam” do mojej ojczyzny, ani też nie czułem się tam obcy. Normy zachowania i zwyczaje u moich krewnych były na ogół takie same jak w moim rodzinnym domu w Niemczech. Dotyczyło to zarówno respektu okazywanemu starszym, który dla nas – dzieci – był czymś absolutnie oczywistym, jak i czynności dnia codziennego, które nie były ustalone co do minuty, oraz wolności, z jakiej korzystaliśmy jako dzieci. Dziś wiem, że ta bezproblemowa adaptacja związana była ze środowiskiem społecznym moich krewnych. Wszyscy moi wujowie byli medykami lub czymś podobnym. Nadal przebywałem w górnej warstwie średniej. W domu były stoły, sofy, fotele, wieże stereo, zamrażarki, wykładziny podłogowe, frytki, lalki Big Jim. Żyłem w podobnym otoczeniu jak to, w domu, w Niemczech. Ale jak wędrowaliśmy przez miasto, na bazar, na przedmieścia – to był rzeczywiście inny świat. Rzemieślnicy, handlarze, mali chłopcy w dziurawych butach – jedyne, co miałem z nimi wspólne, to był język. Szczególnie drastycznie odczuwałem tę różnicę, gdy w piątek jechaliśmy do naszej posiadłości ziemskiej. W domu naszego administratora nie było mebli. Wszyscy siedzieli na dywanie. Miał on wprawdzie dzieci w naszym wieku, ale nie tylko mnie, ale i moim kuzynkom i kuzynom nigdy nie przyszłoby na myśl, że moglibyśmy się z nimi bawić. Tam byłem za granicą – ale nie tylko ja, lecz także moi kuzyni i kuzynki z mieszczańskiej, zamożnej warstwy Isfahanu. Była to podobna sytuacja jak wtedy, gdy znalazłem się w klubie piłkarskim, tylko że o wiele bardziej ekstremalna, ponieważ różnice socjalne w takim społeczeństwie jak irańskie są bardziej ekstremalne niż w Niemczech.

Dlaczego o tym opowiadam? Ponieważ chcę powiedzieć, że istnieją inne różnice, które w większości przypadków są o wiele istotniejsze niż narodowość, kolor włosów, krew. I ponieważ myślę, że na przykład ubóstwo i bogactwo, miasto i wieś, wykształcenie lub jego brak są kategoriami, które często o wiele bardziej dzielą, wyobcowują, upośledzają czy uprzywilejowują ludzi – o ile nie żyją akurat w państwie rasistowskim - niż narodowość czy religia. Nie twierdzę, że nie istnieją konflikty o podłożu kulturowym, ale myślę, że największą przepaść w społeczeństwie i pomiędzy różnymi społeczeństwami stanowi ta natury socjalnej – to, że jedni mają niemal wszystko a inni prawie nic.

Ja sam jestem tego przykładem, ponieważ chociaż byłem cudzoziemcem prawie nigdy nie czułem się dyskryminowany, nawet później, w gimnazjum. Od czasów gimnazjum stale miałem do czynienia z ludźmi, którzy narzekali na tę masę cudzoziemców. Był na przykład taki chłopak, który mając 16 czy 17 lat został u nas okrzyknięty nazistą. Dziś pracuje jako porządny handlowiec w mieście, które widuję tylko przy okazji odwiedzin u moich rodziców. Chociaż jego poglądy polityczne były dla mnie więcej niż podejrzane, muszę przyznać, że jego samego uważałem za całkiem miłego i traktowałem go w sposób nieco żartobliwy i ironiczny, co on akceptował. Zawsze prowokowałem go trochę do wygłaszania tych jego prawicowych haseł, także dlatego, że nigdy nie traktowałem ich poważnie. Ale jedną odpowiedź zapamiętałem, tym bardziej że od tej pory stale słyszałem ją od innych ludzi, przy innych okazjach. Jeśli mianowicie zwróciłem mu uwagę na to, że ja sam też przecież jestem cudzoziemcem, i czy też powinienem wracać do domu, odpowiadał: Bzdura, ty przecież nie jesteś taaakim cudzoziemcem, ciebie w ogóle nie miałem na myśli. Takie zdanie słyszałem dość często i wiem, że wtedy odpowiadałem bardzo rozdrażniony. Nie chciałem uchodzić za dobrego cudzoziemca.

Dzisiaj mogę dość dokładnie określić ten proces stawania się cudzoziemcem, uświadamiania sobie mojej inności. Zdarzyło się to po raz pierwszy, że przynależność do owego innego świata tak zdecydowanie wpłynęła na moje zachowanie w świecie niemieckim. Zanim opowiem tu pewną anegdotę, muszę nadmienić, że jako dziecko absolutnie nie wyróżniałem się spośród kolegów jeśli chodzi o etyczność mojego postępowania. Anegdota nie opowiada o

żadnym moim wczesnym bohaterskim czynie, lecz o nieuniknionej solidarności. Dopiero później uświadomiłem sobie, z czego wynikała.

W trakcie pierwszego roku nauki albo na początku drugiego nasza wychowawczyni, pani Klein, przedstawiła nam naszego nowego kolegę. Nazywał się Michael i był czarnym dzieckiem adoptowanym przez niemieckich rodziców. Nie minęło dużo czasu, gdy zaczęto mu dokuczać, gonić po podwórzu szkolnym, bić. Na nieszczęście nie był też szczególnie dobrym uczniem, co narażało go na dodatkowe drwiny. Jako dziecko często byłem dość okrutny i niesprawiedliwy, ale w tym akurat przypadku jakoś nie potrafiłem uczestniczyć w dokuczaniu chłopcu. Pani Klein musiała to przeczuwać, ponieważ od razu posadziła Michaela obok mnie w ostatnim rzędzie. Jej strategia stała się dla mnie w pewnym sensie jasna, chociaż na pewno nie było to po jej myśli, że podczas sprawdzianów uporawszy się z zadaniami, podsuwałem mój zeszyt Michaelowi. Do dzisiaj usiłuję zgadnąć, czy pani Klein domyśliła się, dlaczego z niektórych przedmiotów ja i Michael otrzymywaliśmy takie same oceny, chociaż on – już choćby z powodu swojej niepewności - podczas lekcji nie był w stanie wykrztusić ani słowa. Niestety nie ze wszystkich przedmiotów pisało się sprawdziany, podczas których pomoc rozwojowa była skuteczna. Na przykład przy dyktandzie nie dało się nic zrobić. A może była to tylko matematyka, w której mu pomagałem. Nie potrafię powiedzieć, do jakiego stopnia uświadamiałem to sobie, ale łączyło nas coś niewidzialnego. Obaj należeliśmy do innego świata niż nasi szkolni koledzy, tylko że ja z powodu mojego koloru skóry występowałem incognito, albo przynajmniej tak, że nikt z mojej obcości nie czynił problemu. Natomiast jego obcość była oczywista, tym bardziej że po niemiecku mówił z lekkim akcentem. Ale właściwie mnie też mogło to dotknąć. Pamiętam, że zastanawiałem się nad tym. Myśl, że Michael dopomógł mi do coming-out jako cudzoziemiec jest wprawdzie zbyt ponętna, aby mogła być całkowicie prawdziwa, ale jak tylko nieco wydorostałem, od dziesiątego czy też jedenastego roku życia, zacząłem regularnie kokietować moją obcością. Jednak dla Michaela moja solidarność nie okazała się zbyt zdecydowana, ponieważ na końcu roku szkolnego jego rodzice zabrali go ze szkoły.

Zawsze wiedziałem, że jestem cudzoziemcem, ale problemem stawało się to tylko wtedy, gdy podnoszono go w stosunku do mnie. Zaczęło się to tak naprawdę, gdy miałem piętnaście albo szesnaście lat, gdy zaczęto mówić o nienawiści do cudzoziemców. Ja sam osobiście nie byłem właściwie tym dotknięty, ponieważ oprócz wspomnianego tu kolegi nikt w naszej szkole nie wygłaszał haseł o nienawiści do cudzoziemców, ale oczywiście nie mogłem nie dostrzec, że istnieli ludzie, którzy mieli coś przeciwko cudzoziemcom, choćby dlatego, że mówiliśmy o tym na lekcjach wiedzy o społeczeństwie. Nawet jeżeli komuś wydaje się, że jego samego to nie dotyczy, to i tak instynktownie czuje się przynależnym do tej grupy, wobec której odczuwana jest wrogość. Ale wiele o tym nie rozmyślałem, aż do czasu, gdy przed czterema, może pięcioma laty w związku z podwójnym obywatelstwem podjęto dyskusję nad kwestią tożsamości kulturowej w Niemczech. Zauważyłem wtedy, że w głowach wielu polityków straszy nieszczęsne i nierealistyczne wyobrażenie na temat opowiedzenia się cudzoziemców po jednej ze stron. Gdy ich słuchałem, miałem zawsze odczucie, że w ogóle nie wiedzą, o czym mówią, i ci politycy, i komentatorzy i także obywatele, z którymi przeprowadzano wywiady, którzy pisali do czasopism albo na deptakach podpisywali apele protestacyjne Unii Chrześcijańskiej. Nie chciałem w tym miejscu wchodzić dokładniej w problematykę podwójnego obywatelstwa, ale argument, że ktoś posiadający podwójny paszport musi mieć konflikt tożsamości, zawsze wydawał mi się abstrakcyjny, o ile nie absurdalny. Nie zawsze można odpowiedzieć na pytanie, czy należy się do tych czy tamtych. Nie popadałbym w konflikt wewnętrzny, gdybym poruszał się pomiędzy dwoma tożsamościami (jak gdyby chodziło przy tym o krzesła, na których trzeba usiąść), lecz jeżeli miałbym się zdecydować na jedną tożsamość. Rzeczywistość życia człowieka – każdego człowieka – jest zbyt skomplikowana, zbyt złożona, aby można było sprowadzić ją do tak abstrakcyjnego i

separującego pojęcia jakim jest tożsamość, a do tego zdecydować się jeszcze na tylko jedną. To jest nowoczesne podejście, które stało się możliwe dopiero co, ponieważ podczas dwóch wojen światowych Europa próbowała zniszczyć w zasadzie oczywiste przemieszanie kultur i tożsamości, ponieważ zgaszono żydowskie przejawy życia w Berlinie i niemieckie w Czerniowcach, ponieważ wypędzono Turków z Salonik a Greków z Izmiru, żeby przytoczyć tylko cztery spośród setek przykładów szaleństwa spowodowanego koniecznością wyboru tożsamości. Człowiek nie jest deską kreślarską i jest rzeczą fatalną, że nowe przepisy dotyczące obywatelstwa wszystkim niemiecko – cudzoziemskim dzieciom w Niemczech przyznają początkowo dwa paszporty, ale zmuszają je, aby później, a mianowicie po ukończeniu 18 roku życia zdecydowały się na jedną narodowość. Paszporty nie są ikonami, lecz dokumentami. Rzadko bywałem tak dumny z Niemiec jak w dniu otrzymania obywatelstwa niemieckiego jako podwójny obywatel, co odbyło się bez żadnego ceremoniału, tylko przez prosty, serdeczny uścisk ręki w hali meldunków Urzędu Meldunkowego Kolonia – Śródmieście. Było to tak bezemocjonalnie brzydkie jak pojęcie „patriotyzmu konstytucyjnego” i tak zaskakująco chłodne, jak ja to widzę. Gdyby w ogóle istniał jakiś twór polityczny, z którym bym się identyfikował, byłaby to Europa przyszłości, niezdefiniowana religijnie, właśnie dlatego, że zgodnie ze swoim pochodzeniem oświeceniowym i swoją wizją nie stanowi zamkniętej wspólnoty narodów, lecz zasadniczo jest otwartą wspólnotą wartości, po stronie której można się opowiedzieć, albo właśnie się nie opowiada.

Dzisiaj piszę książki m.in. na temat islamu. Nawiasem mówiąc stale próbowałem nie występować publicznie jako muzułmanin. Potwierdziło się też, że w moich książkach nie wyczuwa się religijnych przekonań autora, ani to, czy w ogóle jakieś ma. Zawsze zależało mi na tym, aby postrzegano mnie jako naukowca specjalizującego się w zagadnieniach islamu, nie jako osoby wierzącej czy zgoła teologa. Dlatego niemal w ogóle nie uczestniczyłem w dyskusjach czy debatach na temat różnych religii, w każdym razie nie jako przedstawiciel islamu, co najwyżej przedstawiając innych przedstawicieli. Dla mnie oczywistą rzeczą było oddzielenie islamu jako przedmiotu moich badań od mojej prywatnej wiary czy też niewiary. Po 11 września trudno jest utrzymać ten podział. Do tej pory w zachodnim życiu publicznym istniał daleko posunięty konsensus, polegający na odróżnianiu islamu jako religii od terroryzmu, muzułmanów od fundamentalistów. Pamiętam program telewizyjny emitowany krótko po 11 września, w którym przeprowadzano wywiad z pisarzem Güntherem Kunertem. Kunert był u siebie w domu, siedział w fotelu i pamiętam jeszcze, że miał na sobie niezwykle szerokie szelki do spodni. Myślę, że to właśnie on wypowiedział to po raz pierwszy, w każdym razie o ile mogłem usłyszeć: Powiedział, że na miłość boską nie chce nic powiedzieć przeciwko naszym tureckim współobywatelom, ale należy dostrzec, że jako muzułmanie mają inny stosunek do przemocy, bo naszego zakazu zabijania przecież nie znają. Stąd też w każdym z nich tkwi możliwy terrorysta, i to w każdej chwili może wybuchnąć. „Jeżeli powie się katolikowi: ‘Idź i zabij tego tam!’, to tego nie uczyni. A muzułmanin to zrobi.” Ale proszę nie rozumieć tego jako wypowiedzi wrogiej cudzoziemcom, on mówi tylko o faktach. Oczywiście wiele razy drwiłem wcześniej ze zniekształconych albo wręcz nieprawdziwych opowieści i wypowiedzi na temat islamu, jakie niemal zawsze serwuje nam telewizja, ale rzadko dotykało mnie to głębiej. Było to tak, jakby ktoś w sposób niekompetentny albo nieodpowiedni omawiał książkę, którą dobrze znam. Ale po usłyszeniu Kunerta po raz pierwszy poczułem coś w rodzaju lęku. Byłem zaniepokojony, że wiodący niemiecki intelektualista mógł w ten sposób wypowiadać się w telewizji bez wywołania czyjegokolwiek sprzeciwu, bez zwrócenia czyjejkolwiek uwagi i to w kraju, w którym jakoby zebrano wystarczającą ilość doświadczeń z wypowiedziami o Żydach jako Żydach. W końcu Kunert powiedział nie tylko, że islam jako taki jest brutalny, skory do przemocy, lecz o wiele więcej: że muzułmanin jako muzułmanin jest potencjalnym mordercą. Nie mogłem zrozumieć tego inaczej niż: my, muzułmanie jesteśmy potencjalnymi mordercami. Obwiniając wszystkich

muzułmanów, Kunert zmusił mnie do solidarności z nimi. Rok później to, co zaczęło się od strzępków wywiadów z Güntherem Kunertem i Elfriede Jelinek, przekształciło się w dyskusję. Podobnie jak w szkole podstawowej, gdy instynktownie zaliczyłem siebie do owej dwuosobowej grupy cudzoziemców, chociaż ataki wcale nie dotyczyły mnie osobiście, nie mogę dzisiaj postąpić inaczej, niż czuć się o wiele mocniej przynależny do wspólnoty nazywanej islamem, niż miało to miejsce przed 11 września. Prawdopodobnie jest to normalny, ale sam w sobie niedobry impuls i w miarę możliwości próbuję nie poddać się mu, ponieważ nie chcę na to pozwolić, aby inni zmuszali mnie do przyjęcia jakiejś tożsamości, nawet jeżeli jest to moja własna tożsamość. W rzeczywistości ciągle jeszcze jest mi to dość obojętne, co ten czy ów powie o islamie. Ale martwi mnie to, że ta nagonka mogłaby stać się instrumentem politycznym i że mogłaby zwrócić się nie przeciwko czemuś abstrakcyjnemu – religii – lecz przeciwko ludziom. W Danii, Holandii, we Włoszech i, jak słyszałem, także w Szwajcarii już uprawia się politykę przy pomocy wrogości wobec islamu.

Moją ojczyzną nie są Niemcy. Moja ojczyzna to więcej niż Niemcy: Moją ojczyzną stała się Kolonia. Moją ojczyzną jest mówiony język perski i pisany język niemiecki: Gdy jestem za granicą, od razu czuję się wśród rodaków, gdy tylko słyszę język perski, nie gdy słyszę niemiecki. Ale pierwsze, co robię, to patrzę, gdzie można dostać jakąś niemiecką gazetę. Unikam, o ile to możliwe, lektury w języku obcym, ponieważ najchętniej czytam po niemiecku. Czytanie czegoś po persku czy po angielsku nigdy nie sprawia mi przyjemności, nawet jeżeli to rozumiem. Natomiast piszę tylko po niemiecku. Pod tym względem jestem prawdziwym nacjonalistą. Jako naukowiec ciągle jestem namawiany do publikowania po angielsku. Spośród wszystkich naukowców, jakich znam, nie ma ani jednego, który tak uparcie obstawał przy pisaniu po niemiecku. Pisany język niemiecki jest moją ojczyzną; tylko nim mogę oddychać, tylko w tym języku mogę powiedzieć, co mam do powiedzenia. Ale tylko język pisany. Gdy jestem za granicą i słyszę język niemiecki, nie wywiera to na mnie żadnego wrażenia. Rozmawiając z niemieckojęzycznym cudzoziemcem zawsze wybieram język angielski. Mówiona niemiecka nie łączy się dla mnie z żadnym uczuciem bliskości, ja mówię też o wiele za szybko po niemiecku. Nie czuję się w tym dobrze. Gdy natomiast słyszę język perski, czuję się jak w domu.

Z poezją jest już zupełnie inaczej. Gdy słyszę jakiś wiersz po hiszpańsku, to intuicyjnie jest mi on bliższy, niż wiersz w języku perskim czy niemieckim, chociaż w ogóle nie mówię po hiszpańsku. A mimo to wydanie utworów Nerudy, Borgesa czy Octavio Paz jest dla mnie bezwartościowe, jeżeli nie jest dwujęzyczne – muszę słyszeć ich hiszpański ton. Z pewnością jest to związane z tym, że pierwsze wiersze, jakie z entuzjazmem recytowałem, były autorstwa Pablo Nerudy. I jako zakochany młody człowiek posiadałem takie dwujęzyczne wydania i stale je czytałem, najpierw wersję niemiecką, potem hiszpańską. Ciągle jeszcze najchętniej czytam na głos wiersze hiszpańskie, co dla Hiszpana musi brzmieć dość śmiesznie, ponieważ praktycznie nie mówię po hiszpańsku. Moja ojczyzna to nie tylko Niemcy czy Iran, lecz także poezja Pablo Nerudy, która towarzyszyła mi w mojej miłości. Są w Niemczech takie miejsca, w których czuję się tak obco jak ktoś przybyły z dżungli. Na przykład niemieckie knajpki. Albo typowo niemieckie potrawy – golonko, pieczeń wołowa, „leberkäs” (potrawa mięsna, podawana w plastrach na ciepło, o smaku i konsystencji zbliżonej do mortadeli – przyp. tłum.) – to dla mnie czysta egzotyka. Niektóre z tych potraw smakują mi, ale smakują mi jako coś obcego, egzotycznego, tak jak niektórzy lubią potrawy kuchni Bali. No i niemiecka literatura, na której się wychowałem, którą wchłonałem, która jest moją literaturą. To jest ojczyzna – albo klub piłkarski 1 FC Köln, to jest dla mnie ojczyzna odkąd skończyłem cztery lata. Ojczyzną jest dla mnie Müngersdorfer Stadion – ale nie cała niemiecka piłka nożna; podczas mistrzostw świata w piłce nożnej nigdy nie cierpiałem wraz z Niemcami, co najwyżej z piłkarzami z Kolonii, grającymi w narodowej jedenastce, na przykład z Wolfgangiem Overath podczas Mistrzostw Świata w 1974 roku albo

Dieterem Müllerem i Heinzem Flohe podczas Mistrzostw Europy w 1976 roku, w końcu z Thomasem Häblerem i – przyznaję to – z Bodo Illgnerem i Polakiem Łukaszem Podolskim, gdy jeszcze grali dla klubu w Kolonii. Ale te dwa razy, gdy Iran zakwalifikował się do Mistrzostw Świata, znałem nazwiska wszystkich piłkarzy. I w ogóle nie było takiego pytania, z kim trzymam. Chętnie opowiedziałbym tym niemieckim politykom, co byłoby dla mnie konfliktem tożsamości: nie posiadanie dwóch paszportów, lecz gdyby 1 FC Köln grała przeciwko irańskiej drużynie narodowej. To bądź co bądź zostało mi oszczędzone. Irańscy piłkarze sromotnie przegrali w ostatnich eliminacjach do Mistrzostw Świata, a Köln nie gra nawet w pierwszej lidze niemieckiej, co powoduje, że znalazłem się przy mojej następnej, decydującej tożsamości: mojej szyickości. Nikt nie cierpi z takim oddaniem jak my.